

NASTOLETνια WIEDŹMA : STELLA FLORESS

Od zawsze powtarzano mi, że jestem wyjątkowa. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć dlaczego. Może to właśnie moja rodzina przyciągała uwagę wszystkich tych ludzi. Pochodzę z liczącego się rodu wiedźm. Moi rodzice dumnie prowadzą nasz sabat. Pewnie nie do końca rozumiecie o co mi chodzi i jest to dla was niezrozumiałe. Wyjaśnię....

Wychowywałam się w specyficznej rodzinie. O moim pochodzeniu prawdopodobnie słyszeliście tylko z bajek i legend, a jednak – my istniejemy. Mamy swoją wyodrębnioną religię i kulturę. Mamy swoje zaklęcia, rytuały i klątwy. Potrafimy przygotować różnego rodzaju napary i eliksiry - szczerze mówiąc jesteśmy w tym najlepsze. Żyjemy swoim życiem i nie ma w nas nic specjalnego oprócz umiejętności i nadludzkiej mocy. Rodzice mają na mnie ogromny wpływ. Muszę postępować tak jak oni, być jak oni- mam być dobrym człowiekiem- tak jak oni. Powtarzają mi od dzieciństwa – rodzinę trzeba stawiać na pierwszym miejscu. Oni powinni być moją inspiracją, powinnam chcieć być taka jak oni. Ale w tym wszystkim nie widzę żadnego sensu.

Greendale – to moje małe miasteczko przepełnione ludźmi, którzy nawet nie mają pojęcia o tym, że żyją takie osoby jak ja. Bardzo trudno jest mi ukrywać się na każdym kroku. Próbuję zrozumieć wszystkie te rzeczy. Ale czy bycie nastoletnią wiedźmą może być łatwe? Dlatego, że moi rodzice od zawsze angażowali się we wszystkie rytuały związane z sabatem, byłam zmuszona do aktywnej relacji ze światem pełnym magii. Czułam się nieswojo wśród istot niby takich jak ja, a jednak tak różnych. Dla większości moje życie byłoby spełnieniem marzeń, bo to przecież niezwykle posiadać czarodziejskie moce. Uwierzcie na słowo – jest to niekiedy męczące, zwłaszcza, gdy pochodzisz z szanowanej wśród ludzi rodziny. Legendy opisują nas jako straszne kobiety rzucające gdzie popadnie klątwę za klątwą – wcale tak nie jest. Jak na swój młody wiek wiem bardzo dużo. Podejrzewam, że mam ten tak zwany talent do wszystkiego odziedziczony po moich rodzicach. Nie wiem czy już mówiłam, ale z natury jestem trochę marudna. Nie jestem niewychowana, ale mam zdanie na temat wielu rzeczy. Mam nieco wrogie nastawienie co do naszych tradycji. Jest wiele rzeczy, których wolałabym nie kultywować. W każdą niedzielę spotykamy się na czarnej mszy w nie świętym klasztorze położonym głęboko w lesie. Modlimy się do trzynastu upadłych aniołów, którzy za nas zginęli. Odprawiamy rytuał wdzięczności i składamy dary – co tydzień to samo. W lesie znajduje się również akademie, w której uczę się zaklęć. Znam wszystkich uczniów szkoły, lecz nie mam żadnej grupki znajomych. Jedyną osobą, która trzyma mnie przy zmysłach to Joe Endwood – mój przyjaciel, jedyną osobą, której mogę powierzyć każdy swój sekret. Ma szesnaście lat i jest ode mnie starszy, ale nie zauważam tej różnicy. Znam go lepiej niż samą siebie. Zrobiłabym dla niego wszystko. On jest jak brat, jak bratnia dusza, która zawsze Cię zrozumie. Spędzam

z nim każdą wolną chwilę. Jesteśmy do siebie tak podobni, że ludzie zazwyczaj o nas plotkują. I charakter bliźniaczy i wygląd – to na pewno rodzeństwo!

Wszystkie czarownice mieszkają na brzegu czarnego lasu. Mamy swoje jedyne miejsce w mieście, gdzie możemy czuć się bezpiecznie. Śmiertelnicy – normalni ludzie, nie mają tu wstępu, a nawet nie wiedzą, że istnieje wioska czarownic. Oni właściwie nic nie wiedzą Akademia wcześniej już wspomniana to mój drugi dom, to miejsce gdzie mogę spędzać mój cały czas. Wielka biblioteka, a w niej mnóstwo ksiąg, które co dzień studiuję. Dlatego, że moi rodzice są ważnymi osobistościami w naszym nie świętym kościele, mogę robić wiele rzeczy, o których większość ludzi nie ma pojęcia. Zwykle pojawiając się i znikam. Czasem biorę sobie do torby pewne książki, które potem oddaję, daję słowo! W nocy przesiaduję pośród regałów z zakurzonymi książkami i zanim się obejrzę jest świt. Mam wielką wiedzę na każdy temat dlatego właśnie, że dużo czytam. Zdarza się, że nie mam nawet czasu na inne rzeczy. Joe czuje podirytowanie i wcale mu się nie dziwię. On chce się oderwać, uciec z lekcji albo zrobić cokolwiek co jest niedopuszczalne. Też chcę, ale te książki same się proszą o przeczytanie. Nie zdziwcie się również, gdy powiem wam, że jestem wielką fanką natury i sztuki.

Czy ja się już wam przedstawiłam? Chyba nie. Nazywam się Stella Floress. Moje imię zapewne dostałam po dawnej arcykapłance, Stelli Hawthorne, która bardzo przysłużyła się w naszym nie świętym kościele. Lubiłam swoje imię, a jeszcze bardziej jego skrót, który stał się moim przezwiskiem. Tylko przyjaciele mogli nazywać mnie skrótem Stell, miałam tylko Joego, więc nie zdarzało się to zbyt często. Mam piętnaście lat, w co często nikt nie wierzy. W życiu czarownicy wygląd ma duże znaczenie. Wiedźmy bardzo zwracają na to uwagę. Ja mam kasztanowe, długie włosy – często spinam je w luźnego koka, a jednak bardziej komfortowo czuję się, gdy mam je rozpuszczone. Moja oliwkowa karnacja nigdy mi się nie podobała. Zawsze wyglądałam trochę inaczej niż inni, ale teraz zauważam tego dobre strony. Mam ciemno brązowe oczy, które przechodzą w czerń. Moje usta zwykle posmarowane balsamem zawsze wyglądają świeżo i bardzo naturalnie. Mój mały, zadarty nosek obsypany piegami ma swój urok, który bardzo mi się podoba. Nie zwracam uwagi na swój wygląd, ale wiąże się on z różnymi ważnymi rzeczami. Istotne są czasem informacje co do barwy tęczy, czy może odcienia skóry. Wiem jak to brzmi, bardzo dziwnie, ale taka prawda.

- Stell spóźnimy się. – Joe powiedział z poważną miną. – To już trzeci dzień w tym tygodniu. Twój ojciec, znaczy dyrektor Floress na pewno wezwie nas do gabinetu.
- Joe nie przesadzaj. Akademia to nie liceum dla śmiertelników, nie będziemy siedzieć na dywaniku i to jeszcze u mojego taty. – zaśmiałam się pod nosem.

Chyba nie mówił poważnie. To oczywiste, że nikt nas nie może za to ukarać. Podeszliśmy do miejsca u celu drogi.

- Appareat praterite. – wypowiedziałam słowa, które pewnie są dla was niezrozumiałe.

Nasza szkoła jest chroniona kręgiem czarownic. Trzeba znać specjalne zaklęcie, by wejść do środka. To było pierwsze zaklęcie, którego nauczyłam się w swoim życiu. Używam go codziennie, ponieważ działa ono na wszystkie nasze magiczne bariery. Gdy patrzę przed siebie widzę budowle jak ze starożytnych projektów architektonicznych. Budynek wygląda jak pałac. Weszliśmy do środka przez wielkie drewniane drzwi.– Widzimy się potem! – rzucił Joe i pobiegł po schodach na górę. Ruszyłam w stronę drzwi do mojej sali, lecz najpierw pogładziłam dłonią swoje kasztanowe włosy i przecesałam je szczotką. Poprawiłam mundurek akademii, nienawidziłam go. Był wykonany z takiego materiału, który wbijał mi się w ciało. Biała koszula ciasno przycięta na szyi, szorstka marynarka w kolorze brudnej czerni i krótka spódnica dopasowana do czarnych podkolanówek. Chwyciłam za klamkę i pospiesznie wbiegłam do klasy.

- Przepraszam za spóźnienie. – mruknęłam cicho. Chciałam szybko usiąść w mojej ławce i udawać, że nic się nie stało. Profesor Banfield od astrologii była moją ulubioną nauczycielką. Kiwnęła do mnie głową i dyskretnie podeszła.

- Stella, znowu się spóźniasz. Który to już raz w tym tygodniu? Nie powiadomię nikogo, nie chcę żeby moi uczniowie wpadali w tarapaty, ale postaraj się więcej nie spóźniać. – kobieta uśmiechnęła się troskliwie i położyła przede mną notatkę z dodatkowymi informacjami i zadaniem dla chętnych, bo zawsze uważała, że wiem więcej niż inni uczniowie.

Mówiła, że mam w sobie coś niesamowitego. Dostarczała mi w zanadrzu dodatkowej wiedzy. Uśmiechnęłam się do niej i schowałam notkę do torby. Przez całą lekcję starałam się dokładnie wsłuchać w słowa profesorki. Temat, który omawialiśmy na zajęciach był jednym z ciekawszych. Każdy podręcznik z którego uczy się większość uczniów już dawno przerobiłam i to nawet parę razy. Przeczytałam już każdą możliwą książkę, a spis biblioteczki znam na pamięć. Gdy w końcu zajęcia się skończyły miałam czas dla siebie. W trakcie dnia mamy tylko parę lekcji, jest ich bardzo mało, ale po ich zakończeniu mamy chwilę na swoje potrzeby. Możemy podszkolić różne dziedziny, które nas interesują. Ja tak jak zawsze ruszyłam szybkim krokiem do biblioteki. Po drodze nie spotkałam nikogo, więc przypuszczałam, że znowu będę sama – odpowiadało mi to. Z torby wyciągnęłam już przestudiowane książki i odłożyłam je równo na regałach

- Jeżeli jeszcze raz dotkniesz mnie albo moich rzeczy to pożałujesz! – usłyszałam nagle krzyk z oddali.

– Eve, nie przesadzaj. Nie możesz zrobić jej krzywdy! – odezwała się druga osoba. – A co jak ktoś tu zaraz przyjdzie? Eve, nie! – ruszyłam do przodu aby znaleźć źródło odgłosów. Na korytarzu obok drzwi od biblioteki zauważyłam trzy osoby, ale jeszcze nie byłam pewna kto

to. No tak! Eveline Evermood i jej przyjaciółka – Zoe Vivian. Dręczą młodsze więdźmy czerpiąc z tego wielką przyjemność. Na mnie już się poznały, gdy byłam młodsza myślały, że jestem słaba. Szybko zauważyły prawdę. Role się odwróciły i to one się mnie bały, ale udawały, że jest inaczej.

– Nadal dręczycie młodszych od siebie? – nagle powiedziałał donośnym głosem.

Poczułam się bardzo pewna siebie, miarka się przebrała.

– Taki właśnie przykład dajecie, wzorowe uczennice. – na podłodze u stóp Eve i Zoe leżała dziewczyna przywiązana do ściany.

– Imperesive custimo. – prostym zaklęciem rozwiązałam supeł. Korytarz był pusty, więc nikt nie miał pojęcia o tym co się tu działo. Wyjątkowo rozdrażniona tą sytuacją spoglądałam to na Eve to na Zoe piorunując je wzrokiem.

– Nie wiem jak Ci dziękować! Naprawdę jestem bardzo wdzięczna. – wreszcie odezwała się nieznajoma. Otrzepała spódnice z ziemi i podała mi dłoń.

– Olivia Huntmore. – przedstawiła się.

– Ja jestem Stella Floress. – uśmiechnęłam się szeroko. Eveline patrzyła na mnie wrogo i po chwili złapała swoją przyjaciółkę Zoe i razem oddaliły się w stronę Sali eliksirów. Przez chwilę jeszcze stałam z nową koleżanką, lecz nie minęła chwila, a już siedziałam przy książkach.

- Stell! – to Joe. Biegł w moją stronę wywołując wokół mnie chaos. Próbowałam doczytać stronę do końca, ale on już próbował na każdy sposób odciągnąć mnie od czytania.

– Znalazłam dzisiaj coś, co bardzo mnie zaciekało Joe. Chodźmy do mnie, zaraz wszystko Ci opowiem. – odparłam. Zapięłam zamek torby i ruszyliśmy w stronę wyjścia. Pstryknęłam palcem i nagle akademia zniknęła – wiadomo, dla bezpieczeństwa zostały nałożone wszelkie bariery ochronne.

– Condiscinut prateritum. – złapaliśmy się za ręce. Coś świsnęło mi za uchem. Zamknęłam oczy, by spokojnie przejść fazę teleportacji. Używam jej codziennie, choć rodzice zwykle odradzają nam używania tego sposobu przemieszczania się.

– Stella to ty? Już wróciłaś? – usłyszałam głos mamy z tarasu. Jej cudowne niebieskie oczy wpatrywały się we mnie z troską. Wiedziałam, że zaraz zapyta mnie co u mnie, a ja z chęcią jej odpowiem. Ubrana dzisiaj w sukienkę w kolorach czerni wyglądała jak typowa arcykapłanka sabatu. Brązowe włosy odziedziczyłam po niej, wyglądała pięknie w takim wiosennym wydaniu.

– Joe i ja będziemy się trochę uczyć, idziemy do pokoju! – mama przytaknęła i uśmiechnęła się do mojego przyjaciela.

- Dzień dobry, pani Floress. Znaczy szanowna arcykapłanko. Znaczy szanowna nie święta arcykapłanko. – powiedział zmieszany.

– Mów mi Georgia.

– No chodź już. – złapałam go za ramię i po schodach weszliśmy do mojego pokoju. Przypominał mi on wielkością bardziej schowek na miotły. Mieściło się tu tylko drewniane, ale wygodne łóżko, ogromna półka z książkami i mnóstwo roślin, które szczerze kochałam. Miałam też małe biurko i krzesło wykonane z brzozy. Mimo wszystko było tu bardzo przytulnie i czułam się tu bezpiecznie. Usiedliśmy na podłodze, by mieć więcej miejsca. Z mojej torby wyciągnęłam grubą księgę.

– Znam wszystkie książki z naszej biblioteki, ale tej nigdy nie widziałam. – powiedziałam.

– To naprawdę coś niesamowitego. – Joe nie krył swojego śmiechu. Przejechałam delikatnie dłonią po twardej okładce wykonanej ze zwierzęcej skóry. Na jej środku widniał wykuty znak. Znałam go skądś... No tak! To przecież nasz symbol. – starannie przejechałam palcem po złotym okręgu. Podobało mi się to oznaczenie księgi. W środku koła widniała grafika kruka. To był nasz znak starożytnych wiedźm. To na pewno była księga z dawnych lat. Spojrzałam na pierwszą stronę.

- „, Wiedźmy i ich tajemnice”. – wyszeptałam. – A oto tytuł. – Z tego co udało mi się zauważyć nie było to coś zwyczajnego. Początki świata ukazane okiem pierwszej oryginalnej czarownicy, historia naszego życia i największe sekrety. Autorka zapisała parę stron, a reszta książki była całkiem pusta.

– Stell? O co w tym chodzi?

- Niemożliwe, to musi mieć jakiś drugi sens. – odpowiedziałam.

– A może to ty po prostu widzisz w każdej książce coś niesamowitego. Daj spokój. – powiedział i podeszedł do okna. Ja powróciłam wzrokiem do jednej ze stron i przez chwilę obydwójmy milczeliśmy.

Nagle usłyszałam wielki hałas z tarasu. Pobiegłam na dół z nadzieją, że nic nikomu się nie stało. Moja mama w popłochu przygotowywała ławę, na której zawsze parzymy wywary. Tata na gotowym stanowisku do pracy położył kobietę, która z tego co widziałam cierpiała z bólu. Na czole miała wielkie rozcięcie, z którego ciekło dużo ciemno - czerwonej krwi. Była to zapewne kolejna ofiara przemocy. Domyśliłam się, że kilka wiedźm wdało się w bójkę, bowiem zdarzało się to bardzo często.

– Stella potrzebujemy pomocy. – powiedział tata i wybiegł do spiżarni. Spojrzałam na wiedźmę, która starała się być silna, ale z bólu przygryzała wargę aż do krwi. Była to dorosła już kobieta i wyglądała na około czterdzieści lat – czyli była w wieku moich rodziców. Była cała brudna z ziemi, jakby tarzała się w piasku. Słyszałam jej cichy płacz, który próbowała powstrzymać. Złapałam ją za rękę i uśmiechnęłam się.

– Postaramy się zrobić wszystko, obiecuję! – gdy podeszłam bliżej zauważyłam, że ma złamaną lewą rękę. Nawet głupiec zobaczyłby to z daleka. Mniej więcej wiedziałam już jak jej pomóc. Wybiegłam do ogrodu by przygotować składniki do eliksiru. Wyrwałam z ziemi naturalne zioła, których używamy najczęściej. Wzięłam ze sobą też cukrowego buraka i

główkę róży. Gdy wróciłam do środka mama przykładała do ciętej rany kobiety schłodzony ręcznik nasiąknięty wodą z magicznego jeziora. Swoje składniki wyłożyłam na blacie i w glinianej misie zaczęłam wszystko ze sobą mieszać.

– Uacantropressimoestrawertemuassibasahami. – wypowiadałam ten sam zlepek słów kilka razy, bez tego wywar mógłby się nie udać i nie miałabym szansy wyleczyć wiedźmy. Dołączył do mnie Joe, który zdążył zorientować się co się stało. Złapaliśmy się za ręce i wypowiadaliśmy skomplikowane zaklęcie, aż efekt eliksiru był zadowalający. Przełam jedną porcję do małego, szklanego flakonika. Odłożyłam gotowy leczniczy napój na stoliku i poszłam zajrzeć kolejny raz do kobiety. Nie mogłam w to uwierzyć. Nie było już tej wielkiej rany na twarzy. Woda z zaczarowanego jeziora naprawdę podziałała. Tak jak wam mówiłam - czarownice to mistrzynie w dziedzinie leczniczej.

– Zrobiłam dla pani coś dobrego. Proszę to wypić, zaraz na pewno poczuje się pani lepiej. – przysunęłam jej pojemniczek i gdy otworzyła usta powoli połam ją uzdrawiającym płynem, ale delikatnie by się nie zakrztusiła. Podałam jej napój, dzięki któremu znika ból, wszelkie siniaki, rozcięcia i małe rany. Działanie powinno nastąpić po dwunastu godzinach. Niestety złamanej ręki nie da się wyleczyć w krótkim czasie w żaden sposób, ale można przyspieszyć proces zrostania kości.

– Dziękuję. – drżącym głosem powiedziała kobieta uważnie się we mnie wpatrując. – Kochanie mów mi Helene. – uśmiechnęła się i lekko poruszyła głową.

Teraz, gdy dochodziła już do siebie wystarczyło poczekać na to, aż powie nam co się stało w wiosce czarownic. Kobieta spała jednak ponad dziesięć godzin, ale nie budziliśmy jej – musiała odpocząć. Gdy jednak w końcu wstała, tata od razu podał jej maść, która miała pomóc w zagłuszeniu bólu ręki.

– Nie wiem co bym zrobiła, gdybyście mi nie pomogli. Nie wiem nawet jak mogę podziękować. – Helene mówiła przez łzy. – To było straszne. Naprawdę jeszcze nigdy nie czułam się w ten sposób.

– Czy możesz powiedzieć nam co się stało? – moja mama powiedziała łagodnym głosem.

– Ojczy, Matko czułam się tak źle, ale wiem, że oni ze mną byli, mieli mnie w swojej łasce. – łkała. – To oni. Wielka trzynastka upadłych aniołów. Gdyby nie oni już nic by tu po mnie nie było. Zapomniałam wspomnieć. Wiedźmy zwracają się do arcykapłanów „ojczy” lub „matko”. U nas w kulturze, gdy mówisz tak do wysłanników religii jest to bardzo grzeczne. Oznacza to, że masz do tej osoby szacunek i widzisz w niej czarnego anioła – czyli jednego z trzynastu, do których się modlimy na czarnych mszach.

– Wyszłam z domu by po prostu pospacerować na świeżym powietrzu, gdy nagle zauważyłam czarny płomień. Nie było to normalne zjawisko, w uszach dźwięczał mi odgłos stukania w wielki dzwon. Słyszałam niewyraźne śmiechy dzieci. Nagle szary dym zaczął

mnie gonić, a ja mimo wszystko biegłam do przodu nie patrząc pod nogi. – powiedziała kobieta pocierając oczy.

– Próbowałam w tamtym momencie wypowiedzieć jakiegokolwiek słowo. W kieszeni zawsze mam kawałek włóczki, a wiadomo, że przy jej użyciu mogłabym uciec bez żadnego problemu. Śpiewne zaklęcia obrony to szczególnie mój wielki talent, ale bałam się jak nigdy i nie myślałam o niczym innym niż o śmierci. Patrzyłam na Helene z wielkim współczuciem. Nie wiedziałam, że to co przeżyła, aż tak bardzo odbiło się na niej.

- Leżałam na krawężniku obok jakiegoś kotła. Moją jedyną myślą było to, aby przygotować szybki wywar, który pomógłby mi w samoobronie. Nie miałam jednak ani jednego składnika, a i tak eliksir potrzebowałby trochę czasu. Nie wiedziałam też czego tak naprawdę się boję. – spuściła wzrok i zaczęła opowiadać dalej. – Myślałam, że to już koniec. Nie widziałam już nic niepokojącego, a w moją stronę nic nie nadlatywało. Ale nagle coś porwało mnie w górę. Z tego co mi się wydawało znalazłam się pośród szarej mgły. Ona wyrzuciła mnie ze środka, a ja uderzyłam głową o płot jednego z domów. Dostałam jeszcze parę bolesnych ciosów. To coś, ponieważ nie wiem jak to nazwać zaczęło mówić coś, czego nie potrafiłam zrozumieć. Słyszałam tylko szum, jakbym słuchała tego co mówi spod wody. Nastąpiła cisza i znalazłam się tutaj, u Ojca i Matki Floress. Dziękuję jeszcze raz, to cud, że ktokolwiek znalazł mnie ranną i jeszcze dobrowolnie mnie wyleczył, a w dodatku rodzina arcykapłańska. Co za zaszczyt!

- Helene, to naprawdę straszne. Czy może czułaś jakiś konkretny zapach, gdy zbliżyłaś się do owego czarnego dymu? – zapytał mój tata.

– To było coś, chyba... benzyna, tak myślę... - odpowiedziała zmieszana.

– Wydaje się, że miałaś spotkanie z demonem śmierci. Wszystko co o nim powiedziałaś zadziało się. Ale teraz mam jedno zasadnicze pytanie. Czego szukał demon śmierci w wiosce czarownic?

Wróciłam do mojego pokoju. Joe poszedł już dawno temu. Niestety sprawa związana z Helene zakłóciła nasze spotkanie, ale cieszę się, że udało nam się ją uratować. Byłam bardzo zmęczona po całym dniu. Staralam się zrobić wszystko, by pomóc tamtej kobiecie, a teraz padam z nóg. Nie miałam nawet siły na to, aby znowu całą noc czytać, a zwykle robię to z wielką chęcią. Myślałam jeszcze długo o demonie śmierci, który zaatakował biedną Helene. Myślałam o tym, że raz dzisiaj poczułam przyływ wdzięczności, za to, że miałam swoje moce i pewne umiejętności. Udało nam się sprawnie doprowadzić wszystko do porządku. Lecz jednak mimo wszystko z tyłu głowy miałam czarny dym, który opisała Helene. Duża mgła nie mogła tak nagle wyparować. Byłam pewna, że ona jeszcze wróci. W swoim życiu widziałam demona tylko raz, był on niegroźny ale jednak nadal był to demon. Zapadłam w długi, spokojny sen, ale przecież zaraz, trwał on dłużej niż przypuszczałam.

– Stella, zasnęłaś dzisiaj na zajęciach w akademii. – mój tata pochylał się nade mną i gładził dłońmi moje policzki. – Nie musisz wstawać, usprawiedliwię Cię. Wczoraj dałaś dużo z siebie, pewnie straciłaś wszelkie siły. Rozumiem to.

– Dziękuję tato. – spojrzałam na zegar, który pokazywał godzinę trzynastą. Nigdy nie wstawałam o tej porze, ze względu na to, że zaczynałam szkołę bardzo wcześnie. Byłam dzisiaj w domu sama. Rodzice mają dużo obowiązków w trakcie dnia. Nagle usłyszałam pukanie do drzwi.

- Appareat praterite. – otworzyłam zakłębciem. Nie pomyślałam o tym, że mógłby być to ktokolwiek – jakaś ważna osobistość nie świętego kościoła, czy może któryś z moich nauczycieli. Jednak nikogo tam nie było.

– Pewnie to tylko jakiś żart. – pomyślałam. Weszłam po schodach na górę, z powrotem do mojego pokoju. Otworzyłam okno na oścież i zauważyłam Eve i Zoe.

– Nie wiem co ta cała Stella sobie myśli. Gdyby nie była córką arcykapłanów nikt by jej nie lubił. – zastanawiałam się, czy Eveline wie, że mam okno tuż nad jej głową. Chyba zapomniała, że stojąc tu wszystko słyszę.

– Hej dziewczyny! – krzyknęłam z góry, a one zrobiły się czerwone, jakby najadły się pieprzu. – Spokojnie, wiem, że mnie nie lubicie, nie martwcie się możecie mówić dalej, ja chętnie posłucham. – byłam ciekawa co mają jeszcze do powiedzenia, jednak Zoe tylko pomachała i obydwie sobie poszły.

Nagle poczułam się bardzo źle, jakby jakiś niewidzialny dym dostał się do mojego organizmu. Dusłam się powietrzem i powoli kładłam się na ziemi zwiijając się w kłębek. Czułam okropny ból z tyłu szyi. Nie mogłam oddychać, próbowałam złapać oddech i rzucić jakieś zakłębcie. To na pewno sprawka dziewczyn – były złe, bo przyłapałam je na mówieniu na mnie złych rzeczy. Ale po co miałyby mi to robić? To wszystko nagle straciło sens. Co się dzieje, kto mi to robi? W uszach słyszałam tylko szum. Próbowałam zatkać uszy, ale moje ciało zrobiło się tak słabe, że nie umiałam się poruszyć. Zamknęłam oczy i postanowiłam przeczekać. Gdy je otworzyłam, nie wiedziałam do końca gdzie jestem. Nie pamiętałam też co się stało. Leżałam we flanelowej piżamie pośród opustoszałej, czarnej przestrzeni. Myślałam o rodzicach, czy już zauważyli, że zniknęłam? Czy Joe zaczął mnie szukać? To wszystko stanęło pod jednym, wielkim znakiem zapytania.

Nie wiedziałam jak blisko jestem domu. Jedyne czego mogłam się domyślać to , że byłam w lesie. Wokół mnie widziałam tylko drzewa. Ktoś mnie porwał, wyrzucił w środek ciemnego, straszego lasu i zostawił mnie tu. Zastanawiałam się czy ten rzekomy ktoś przyjdzie po mnie i mi coś zrobi czy po prostu chciał mojej śmierci, więc zostawił mnie samą abym umarła z głodu i zimna. Rzeczywiście – trochę przemarzłam. Leżałam na wilgotnym mchu w cienkiej piżamie całą noc, albo dłużej. Nie miałam nic na przebranie, a na

pewno wyglądałam jak wrak człowieka. No tak! Jak mogłam zapomnieć o tym, że jestem czarownicą.

– Empulisente connottigeus. – próbowałam zaklęciem zobaczyć swoją lokalizację. Niestety nic z tego. Byłam najwyraźniej zbyt słaba. Były też inne sposoby by to sprawdzić.

– Ompulacita sensorostelo. – w mojej dłoni pojawiła się wielka mapa. Rozwinęłam ją delikatnie, by przypadkiem się nie porwała. Z trawy wyciągnęłam ostro zakończony patyk. Wbiłam sobie w koniuszek palca jego spiczastą końcówką. Od razu zaczęło lecieć trochę krwi, ale o to właśnie chodziło. Nakropiłam małą kropelką na kawałku pergaminu.

– Volinero confregostinera muertosecrense wasinakanum. – Mówiłam głośno i zdecydowanie. Strumień krwi zaczął poruszać się na mapie, tworząc równą drogę. Miał on wskazać miejsce, w którym właśnie się znajdowałam. Czekałam aż czerwony ślad się zatrzyma. Ten sposób jest bardzo łatwy i został wymyślony bardzo dawno temu przez oryginalne czarownice. Jak zwykle rytuał moich przodków nie zawiódł. Las Mrocznego Everfree – słyszałam o nim. Podobno nie da się z niego tak szybko wyjść. Jego droga jest bardzo skomplikowana, czytałam w książkach, że pochowane są tu tajemne artefakty dawnych wiedźm. Złożyłam kawałek kartki na pół i schowałam go do kieszeni piżamy. Wtem natknęłam się na kogoś. Nagle stanęło mi serce, a co jeżeli to już koniec? Jaki będzie mój dalszy los? Odwróciłam się na pięcie i powtarzałam sobie w głowie, że nikogo tam nie było.

– Kim jesteś? – wtedy usłyszałam melodyjny głos. Spojrzałam na istotę, która okazała się być małą dziewczynką.

– Nazywam się Stella Floress. Jestem czarownicą. – przerażone dziecko zaczęło się trząść.

– Nie bój się, przecież nic Ci nie zrobię, chodź. – złapałam ją za rękę.

– Ja jestem Luna. – odrzekła dziewczynka jakby powoli zaczęła mi ufać. – Jestem leśnym elfem.

Rzeczywiście, było to widać. Wyglądała naprawdę niesamowicie, jak z bajki. Miała długie do pasa białe jak śnieg włosy przypięte złotymi spinkami. Jej spiczaste uszy mówiły same za siebie. Miała na sobie zieloną sukienkę, przez co wyglądała bardziej jak mała wróżka. Jej buzia jak u niemowlaka była idealna. Gdy się uśmiechała, można było zauważyć u niej wyraźne dołeczki. Miała duże usta posmarowane balsamem. Wyglądała na siedem lat, ale zapewne miała o wiele więcej. Taka natura elfów – widzimy je jako małe dzieci, a tak naprawdę mają nawet po dwieście lat. Wędrowaliśmy przez jakiś czas w poszukiwaniu jakiegoś schronienia, ale trudno o takie miejsce w lesie. Zaczynało robić się jasno na niebie. Słyszałam ciche odgłosy zwierząt, a pod nogami szeleściły nam liście. Było bardzo spokojnie i nic się na razie nie działo. W ogóle nie rozmawialiśmy, chociaż szczerze w pewnym momencie zaczęło brakować mi kontaktu z ludźmi. O świcie zauważyliśmy drewniany domek w samym sercu lasu. Nie wiedziałyśmy czego możemy się spodziewać. . Była to w

zasadzie bardziej drewniana chatka. Podeszliśmy do drzwi małego mieszkanca. Zapukałam parę razy, ale nie dostałyśmy żadnej konkretnej odpowiedzi.

– Dzień dobry, potrzebujemy pomocy! Czy jest tam ktoś? – krzyczałam głośno.

– Zapewne nikogo tam nie ma, zobacz. – Luna złapała za klamkę. – Jest otwarte. Wchodzimy? – kiwnęłam głową. W środku nikogo nie było, tak jak przypuszczaliśmy. Było tu bardzo przytulnie. Bardzo ładnie pachniało goździkami i świeżym mlekiem. Weszliśmy bez wahania. Było tu bardzo mało miejsca, ale jak na nas dwie, nam to odpowiadało. Luna położyła się na czerwonej kanapie.

- Jak tu trafiłaś? – zapytałam.

– Urodziłam się tu. Mieszkam tu. Już nigdy się stąd nie wydostanę. Nie znam innego życia poza tym lasem. – odpowiedziała nieśmiało.

– A ty? Co tu robisz? Zwykle nie gościmy tutaj wiedźm.

– Zostałam porwana, tak myślę. Mieszkam w pewnym mieście, mój sabat tam został. Byłam w moim pokoju i nagle pojawiłam się w tym lesie.

– To nie przypadek, że tu jesteś. Musi dziać się coś złego. – powiedziała wybałuszając na mnie swoje śliczne oczęta. Nastąpiła chwila ciszy, gdy zdałam sobie sprawę jak bardzo jestem głodna.

– Właściciel tego domu musi mieć przecież jakieś jedzenie. – powiedziałam. – Luna, jesteś głodna? - Tak, chętnie zjadłabym smażoną żabę. – spojrzałam na nią sprawdzając czy mówi poważnie – jak się domyślicie, nie żartowała. Podeszłam do lodówki. W środku znalazłam jakieś resztki, ale to też się nada. Wyciągnęłam marchewki i schłodzone mięso. Postanowiłam przygotować nam jakieś dobre danie z przepisu z mojego domu rodzinnego. Wzięłam sobie jakieś zioła i przyprawy aby dobrze doprawić mięso i na jakiejś dużej tacy wyłożyłam wszystko obok siebie. Wsadziłam do piekarnika zrobione przeze mnie udko z kurczaka obtoczone warzywami.

– Jestem taka zmęczona. Straciłam wszelkie poczucie czasu i nie pamiętam kiedy ostatnio spałam. – odrzekłam. – Chyba się na chwilę zdrzemnę.... – położyłam się obok Luny na kanapie i w głęboko odbijającej się w moich uszach ciszy zasnęłam. Nie trwało to jednak długo, obudził mnie krzyk małej elfki, która przerażona wołała mnie o pomoc.

– Stella! Proszę wstań, nie zostawię Cię tu samej! Coś dzieje się na zewnątrz. – gdy otworzyłam oczy od razu zerwałam się na proste nogi i podbiegłam do Luny. - Coś zaczęło trzaskać za oknem i nagle usłyszałam ich. – wskazała dłonią za okno, wyjrzałam przez nie, a tam zobaczyłam watahę wilków dobijających się do drzwi zamieszkaną przez nas chatki. Zwierzęta były nadzwyczaj ogromne i ostrzyły na nas swoje ostro wypilowane kły. Ich mocno przekrwione oczy bardzo mnie wystraszyły. Bałam się nawet poruszyć, wiedziałam, że te wilki zrobią wszystko by rozszarpać nas na strzępy.

– I co teraz zrobimy? Są już bardzo blisko. Minie tylko chwila i już po nas, jesteśmy w pułapce bez wyjścia. – powiedziałam ze strachem w oczach. To nie może być prawda, muszę coś wykombinować. Przecież jestem na tyle sprytna, że może nam się udać. Ale co mogłabym zrobić?

- Antresemo sistumisamo secretos bestamo. – użyłam zaklęcia zagłuszenia, aby dać nam więcej czasu na ucieczkę. W akademii zwykle uczyliśmy się radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Dlatego, że wszyscy chcą naszej śmierci i palą nas na stosie, moi rodzice musieli dołożyć wszelkich starań by wyszkolić nas w samoobronie. Złapałam za rękę Lunę i otworzyłam drzwi od mieszkania.

– Co ty wyprawiasz, chcesz nas zabić? – była wystraszona i to było widać.

– Zaufaj mi. – odpowiedziałam spokojnie z pewnością, że wszystko będzie dobrze. Wilki na nasz widok ruszyły do ataku.

– Estrasempre funtracomes. – na moich rękach pojawiły się złociste płomienie ognia.

Wycelowałam dłońmi w jednego z agresywnych wilków. Zwierzę płonęło w strachu, a ja nie miałam wyboru i wystrzeliłam kolejny raz i kolejny. Luna w tym momencie starała się jak najbardziej mi pomóc. Leśne elfy mają swoje moce, które umożliwiają im przewagę w walce, a zwłaszcza gdy bitwa toczy się w ich rejonach. Moja przyjaciółka dotknęła małą rączką ziemi obrosniętej soczystą zieloną trawą i nagle podłoże zaczęło pękać. Biedne wilczki wpadały do wielkich dziur w ziemi nie mając szansy na jakikolwiek ratunek. Stado trochę opustoszało i zostało tylko niewiele z nich wraz z samą alfą – był to przywódca watahy i ojciec, który powinien chronić swoich poddanych. Przerażona spojrzałam na Lunę. Leżała w kałuży własnej krwi. Udało nam się ich pokonać, a wszystkie emocje nagle opadły. Byłam tylko zła na to, że zabiłyśmy żywe istoty. Każdemu należy się szacunek niezależnie od tego kim ten ktoś jest. Tym razem trafił nam się wróg nie do pokonania, ale zabicie całego stada było dla nas oczywiste. Gdyby nie nasz ruch w ich stronę mogłybyśmy już nie żyć. Luna mówiła, że nic jej nie jest. Jest bardzo małą istotką i bardzo dobrze widziałam, że wilki rozszarpały ją na strzępy. Nie chciała przyjąć ode mnie pomocy, ale miałam na nią oko. Nie mogłabym przeżyć jej śmierci po tym wszystkim co razem przeżyłyśmy.

– Udało nam się! – mocno przytuliłam Lunę. Gdyby nie ona, nie poradziłabym sobie. – Nie chciałabyś stąd uciec, zaznać innego życia? – zapytałam jej bardzo szczerze. – Mogłabyś pójść ze mną, naprawdę, jeśli chcesz zabiorę Cię ze sobą. – dziewczyna kiwnęła głową i ze łzami w oczach powiedziała :

- Zawsze byłam samotna, takie życie elfów. Podążamy pisaną nam ścieżką, nawet jeżeli jest ona brutalna i nam się nie podoba. Ale ty Stella, gdy Cię poznałam... naprawdę Cię polubiłam i zaszczytem byłoby być twoją przyjaciółką. – nie wiedziałam co powiedzieć. Luna była dla mnie kimś ważnym. Spędziłyśmy ze sobą raptem parę dni, a ja już czułam jakbyśmy znały się od zawsze.

– Mów mi Stell, mała elfko. Moja mała przyjaciółko. – uśmiechnęła się do mnie i wróciłyśmy do drewnianej chatki. Po otwarciu drzwi poczułyśmy nieprzyjemny zapach. Z piekarnika dymiło i gdybyśmy przyszły kilka minut później cały dom stałby w ogniu.

– Mięso bardzo się przypaliło. Myślę, że z głodu zjemy wszystko i zbyt dopieczone jedzenie nie będzie problemem. – położyłam na stole naszą kolację, która całą noc stała w żarze.

– O to się nie martw kochana, na pewno wszystko zjemy, aby tylko wypełnić nasze żołądki do pełna. – Luna miała rację.

Byłyśmy tak wycieńczone, że spalone danie nie było żadnym zmartwieniem. Najważniejsze było to, że w końcu byłyśmy najedzone. Dobrze zajęłam się małą elfką. Jej pocięty brzuch i zraniona głowa wyglądały strasznie. Obandażowałam jej bolące miejsca, aby trochę załagodzić jej ból Trzask drzwi przysporzył nam wielkiego strachu. Do domku wszedł starszy mężczyzna. Wyglądał na myśliwego i nim właśnie chyba był. Na nasz widok uniósł swoją strzelbę. Wyglądał jakby chciał nam zrobić krzywdę, co było naprawdę straszne. Celował w nas swoją bronią, co było kolejnym powodem dlaczego byłam przerażona.

– Co wyście za jedne? – mówił poważnym, stanowczym głosem. – Co robicie w moim domu?

- Dzień dobry. Jestem Stella Floress – powiedziałam łagodnie. – Czy wie pan jak można wydostać się z tego lasu? – zapytałam z nadzieją, że ten nieznajomy człowiek zdoła nam pomóc.

– Hmm, czarownica i leśna elfka. Zgadza się? – powiedział coś co było dla mnie zaskoczeniem. Byłam pewna, że był on śmiertelnikiem. – Głupi by się domyślił. Chodźcie za mną. – mężczyzna ponaglił nas ruchem ręki. Podniosłam obolałą elfkę z kanapy. Zamknęłyśmy drzwi chatki i ruszyłyśmy za nim szlakiem.

– Czy możemy mu ufać? – usłyszałam szept Luny.

– Mam nadzieję. Będziemy ostrożne. – powiedziałam równie cicho jak ona.

– Nie chciałem podsłuchiwać moje panie, ale nie musicie się o nic obawiać. Znam twojego ojca Stello. – puścił do mnie oko. – Arthur był moim najlepszym przyjacielem w młodości. Niestety przez nasze pochodzenie musieliśmy pożegnać się na dobre. Jestem wilkołakiem. – Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. – Tak, wiem, że wybiłyście całe moje stado, ale ja i reszta trzymamy się jeszcze dobrze.

– Bardzo przepraszamy, że wybiłyśmy pańską rodzinę. To była forma samoobrony.

– Dziecko mów mi Henry. Nie jestem wcale zły i w pełni rozumiem waszą reakcję na atak. To normalne. A teraz skupmy się na drodze, bo może być to trudne. Spacerowaliśmy kilka dni, co było dla nas wielkim utrudnieniem. Ja i Luna traciłyśmy siły, ale nie zatrzymywaliśmy się w trakcie wyprawy – nie było na to czasu. W końcu gdy dotarliśmy do zaczarowanego jeziora, o którym wspominałam wcześniej mieliśmy przerwę. Ja wykorzystałam wszystkie swoje umiejętności, by stworzyć dla nas wszystkich eliksir mocy.

Warzyła eliksir kilka godzin. By go zrobić potrzebowałam jedynie trochę wody ze zbiornika magicznego pochodzenia i parę innych rzeczy, które zwykle są poza moim zasięgiem. Jak się jednak okazało Henry miał te rzeczy w zanadru. Podarował mi część składników, a ja wytworzyłam parę fiolek naparu.

– Jesteś bardzo zdolna Stella. Masz to po rodzicach, tak myślę. – nagle mężczyzna zmienił wyraz twarzy, ale najwyraźniej próbował to ukryć.

Gdy ruszyliśmy dalej w drogę znowu dał znać o sobie mój ostry ból nóg. Próbowałam przezwyciężyć cierpienie i chyba mi się udawało. Po drodze napotkaliśmy wiele przeszkód i trudności. Przechodząc przez te wszystkie etapy podróży, czułam to jakbym znajdowała się w labiryncie strachu. Za jednym razem trafiliśmy na kamienny most. Niby zwykła rzecz, a jednak most był zaczarowany. Nie mogliśmy na spokojnie po nim przejść. Każdy jeden krok po nim to jeden krok do trumny. Szczepki nie były przystosowane do ciężaru ciała. Przejść mogła tylko jedna osoba, nie dalibyśmy rady przedostać się na drugą stronę wszyscy razem. Jednak jak dobrze wiecie – posiadam niesamowite moce. Jednym prostym zaklęciem wyczarowałam sobie i Lunie piękne błyszczące skrzydła. To właśnie na nich udało nam się dotrzeć do celu. Moje moce mają też swoje ograniczenia. Musiałyśmy pilnować naszego czasu. Pod wpływem promieni słońca nasze nowe dopiero co wyczarowane skrzydła mogły się w prosty sposób rozpuścić.

Drugą przeszkodą, były bagna. Niestety Luna bardzo ucierpiała. Zraniła się w kostkę i dosyć mocno krwawiła. Pnącza drzew złapały ją z każdej strony i biedna elfka próbowała się stamtąd jak najszybciej wydostać. Jej liczne rany i przecięcia musiały bardzo boleć. Bardzo jej współczułam, wolałam chyba żeby przydarzyło się to mnie niż jej. Nie umiałam patrzeć na jej cierpienie. Ale najgorszym momentem naszej wyprawy była wielka bitwa z krokodylami. Wielkie zwierzęta miały nad nami ogromną przewagę. Ich atak na Lunę był ostatnim gwoździem do trumny. Biedna dziewczynka zwinęła się w kłębek.

- Zabierz ją stąd, ona zaraz umrze. Tuż obok jest wyjście, trafiliśmy do twojej wioski czarownic! – wrzasnął do mnie Henry. – Dacie radę beze mnie. Miło było Cię poznać, pozdrów ojca. – Nie zdążyłam nawet mu podziękować. Byłam tak przejęta stanem przyjaciółki, że nie myślałam o niczym innym. Wyłoniłam się zza drzew i od razu zauważyłam mój dom z oddali. Luna krwawiła w moich rękach, nie mogłam znieść myśli o tym, że zaraz ją stracę.

- Mamo! Tato! – krzyczałam tak głośno jak nigdy. Czułam moje rozdierające się od środka gardło, ale to nie było najważniejsze. Rodzice biegli w moją stronę.

– Stella, dziecko gdzie ty byłaś?

- Nie teraz, proszę pomóżcie mi. Ona, ona umiera... - mówiłam dosyć niewyraźnie przez łzy.

– Nie wiem co robić!

Tata przejął Lunę na swoje ręce i delikatnie przyłożył głowę do jej serca. Wiedziałam co oznaczała jego przejęta mina. Serce przestało bić, mała elfka umarła. Luna nie żyje.

– Kim ona była? – zapytała mama wtulając się we mnie ze współczuciem.

– Nazywała się Luna. Była moją wierną towarzyszką, małą elfką, przyjaciółką...